Philipp von BISMARCK

„SI VIS PACEM – PARA PACEM" NIEMIECKO-POLSKA I POLSKO-NIEMIECKA ODPOWIEDZIALNOŚĆ ZA PRZYSZŁOŚĆ

W obszarze niemiecko-polskim, któremu słusznie przyznaje się kluczową rolę w rozwiązaniu problemu przyszłości Europy, wzajemne zachęcanie się do coraz szerszego i coraz głębszego pojednania wydaje się zadaniem jeśli nie najpilniejszym, to jednym z najpilniejszych.

W dniu, w którym ogłoszono natchnioną decyzję zgromadzonych na konklawe kardynałów o wyborze polskiego kardynała Karola Wojtyły na papieża, obradowało w Olsztynie tak zwane Forum Niemiecko-Polskie. Zawdzięczało ono swe powstanie zawartej w r. 1976 umowie pomiędzy kanclerzem Republiki Federalnej Helmutem Schmidtem i pierwszym sekretarzem Edwardem Gierkiem. Celem Forum miało być „pogłębienie wzajemnego porozumienia i współpracy" oraz „wspólne przedyskutowanie zagadnień leżących w interesie obu stron i pobudzanie rozwoju wzajemnych stosunków". Niech dwa nigdzie nie zarejestrowane wówczas zdarzenia wprowadzą do rozważań niemieckiego luteranina z okazji 70 rocznicy urodzin Ojca Świętego, zwłaszcza że wymowa tych faktów uzyskała dodatkowy ciężar.

Pierwsze zdarzenie.

Rano, w dniu wyboru papieża, na postawione z naciskiem z polskiej strony pytanie dotyczące niemieckiej wizji zjednoczenia Niemiec padła odpowiedź: „Nikt dzisiaj nie jest w stanie powiedzieć, ile państw niemieckich, jakie, kiedy, na jakich warunkach i do jakiej Europy będzie się mogło przyłączyć, i jakie będą tego konsekwencje". Na to zareagował spontanicznie ze środka sali posiedzeń polski głos: „Cóż więc ma się stać z nami, czy chcecie nas zupełnie zignorować?" i wołał dalej: „Czy mamy się udać na Alaskę?"

Drugie zdarzenie.

Wieczorem tego samego dnia w czasie powrotu niemieckich uczestników z miejsca posiedzeń do hotelu powitał nas w jego foyer przewodniczący delegacji polskiej wraz ze swym współpracownikiem niezwykłą wieścią: „Karol Wojtyła został dziś wybrany papieżem". Goście niemieccy gratulowali polskim gospodarzom, na co jeden z polskich uczestników zareagował kamiennym spojrzeniem i jakby samemu sobie pytanie stawiając, powiedział: „Gratulować? Nad tym trzeba się będzie jeszcze bardzo zastanowić!"

Czy te dwa pytania, gdy się je dziś przywoła, nie nabierają historycznej rangi? Wszak dzisiaj cała wolna Europa, owszem, cały świat zachodni, znaj-

duje się niejako w poszukiwaniu odpowiedzi na wołanie polskiego głosu z Olsztyna: „Cóż więc ma się stać z nami?”

Czyż nie jest dzisiaj dla wszystkich ewidentnym fakt, że bez papieża Wojtyły w Rzymie, bez jego działalności, bez jego wizyt w ojczyźnie, nie byłaby możliwa owa nowa wiara Polaków w samych siebie, nie byłaby możliwa ich nadzieja na odzyskanie pełnej suwerenności, nie byłoby owej na nowo odzyskanej – a tak teraz oczywistej – dynamiki, nie byłoby wreszcie „okrągłego stołu” w Warszawie i trudno byłoby wręcz wyobrazić sobie moc wiary Wałęsy i jego mistrzostwo w zachowywaniu umiaru?

„Ręka Boga pisze poprzez przypadek”, ale: „Si vis pacem – para pacem” „Jeśli chcesz pokoju – gotuj pokój”). W obliczu jakich zadań stajemy dzisiaj my: Niemcy i Polacy patrząc na ostatnie – brzemienne w następstwa – wydarzenia w politycznym krajobrazie Europy?

Co powinniśmy czynić, co winniśmy sobie wymodlić, jeśli chcemy ów pokój – którego my, Europejczycy, zaznajemy już przez 44 lata od końca II wojny światowej – nie tylko dla nas samych utrzymać, ale go również gdzie indziej dla wszystkich innych – promować w imię odpowiedzialnej wolności chrześcijańskiej i w imię urzeczywistniania prawa do suwerenności? Co powinniśmy uczynić, jeśli siłę miecza jako narzędzia polityki chcemy zastąpić siłą przekonania, iż pokój leży we wspólnym naszym interesie, aby w taki właśnie sposób wypełnić powierzone nam zadanie nieustannego torowania dróg zasadzie: „Si vis pacem – para pacem”?

Autor tych słów może co najwyżej podjąć próbę przedłożenia skromnego przyczynku z pozycji kogoś, kto urodził się w r. 1913 na Pomorzu i został wygnany ze swej ojczyzny w r. 1945, kto jednak doznał tego niezasłużonego szczęścia, że wraz ze swą żoną został już wcześniej przez swych mądrych starszych przyjaciół wciągnięty w ruch oporu przeciwko Adolfowi Hitlerowi. To co, czyni, podejmuje w duchu budzenia odwagi do podejmowania dalszych pogłębionych wysiłków o pojednanie między obu narodami: polskim i niemieckim, a także w duchu modlitwy o mobilizację niezbędnych dla tego celu zasobów wiary. Czyni to opierając się także na wypływającym z całego dotychczasowego historycznego rozwoju Europy – zwłaszcza od końca ostatniej wojny światowej – przeświadczeniu, że od postępu sprawy pojednania niemiecko-polskiego zależeć będzie w sposób istotny, czy Europa Zachodnia i Środkowa sprosta w porę historycznemu wyzwaniu dziejowej chwili świata i czy uzyska tę jedność, która jedynie uczyni ją zdolną do wypełnienia swego zadania na rzecz światowego pokoju.

Co – patrząc na sprawę od strony niemieckiej – mogło nas dotąd napawać otuchą w realistycznym myśleniu o perspektywach pokoju?

Niemcy, zmuszeni decyzją zwycięskich mocarstw do opuszczenia swej ojczyzny – w sumie około 12 mln – płacili w bardzo osobliwy sposób za dokonane uprzednio historyczne zbrodnie. Płacili na równi za 12 lat dyktatury Hitle-

ra, niezależnie od ich osobistego zaangażowania, członkowie partii tak samo, jak i uczestnicy ruchu oporu.

Kiedy mężczyźni, przeżywszy załamanie frontów i przeszedłszy poprzez obozy jenieckie, odszukali w końcu swe rodziny – przerzucone niekiedy o setki kilometrów drogi odbytej pieszo lub na furmankach – odnajdywali je w głodzie i chłodzie, bez domu, pośród wypełniającej dzień powszedni beznadziei. Z wolna też dowiadywali się dopiero, pod kim naprawdę właściwie i w imię czego walczyli w tej wojnie, stawali się kalekami, umierali lub cierpieli pozostając w domu. Ojczyzna, dla której w dobrej wierze walczyli, zdawała się tracić tytuł do czci i dobrego imienia – już nie tylko w oczach wolnego świata, ale także ich własnych. Pogłębiała się też coraz bardziej świadomość zakresu poniesionych strat. Ponad dwa miliony ludzi – małżonków lub małżonek, rodziców, rodzeństwa, dzieci, przyjaciół – utraciło życie. Utracono majątek, niekiedy całą własność; w przypadku rolników z utratą ziemi szła w parze utrata zawodu, niemal każdy utracił krąg własnych przyjaciół, związane z miejscem wiekowe tradycje, swą wspólnotę religijną, mogiły swych najbliższych, całe swe osobiste dziedzictwo, przedmioty pamiątkowe, portrety i obrazy rodzinne, listy i wreszcie sobie tylko znane narzecze czy gwarę rodzinnych stron.

Dowiadywali się z wolna o tym, ile krzywd wyrządziła wojna Hitlera innym narodom, na Zachodzie i na Wschodzie, w szczególności narodowi polskiemu, jak okrutne zbrodnie pociągnął za sobą w swym dalszym przebiegu obłęd rasizmu.

W wyniku tych właśnie przeżyć i na podstawie przemyśleń płynących z podstawowych zasad chrześcijaństwa pierwsi rzecznicy związków wygnańców – powstały one w tym czasie dzięki wysiłkowi i osobistemu zaangażowaniu wielotysięcznych grup ludzi – sformułowali latem 1950 r. *Kartę wygnańców z ojczyzny*, opublikowaną 5 sierpnia w Stuttgarcie. Stwierdza się tam:

„Świadomi swej odpowiedzialności wobec Boga i ludzi, świadomi swej przynależności do kręgu kultury chrześcijańskiej Zachodu, świadomi swej niemieckiej narodowości i w poczuciu wspólnych zobowiązań wobec wszystkich narodów europejskich, delegaci milionów wygnanych z ojczyzny postanowili – po dojrzałym namyśle i rozrachunku ze swym własnym sumieniem – złożyć wobec narodu niemieckiego i światowej opinii publicznej niniejsze uroczyste oświadczenie, określające obowiązki i uprawnienia, w których niemieccy wygnańcy ze swej ojczyzny widzą swą konstytucję i zarazem konieczną przesłankę dla zbudowania wolnej i zjednoczonej Europy.

1. My, wygnani z ojczyzny, rezygnujemy z zemsty i odwetu. Postanowienie to jest dla nas stanowcze i święte w obliczu pamięci na niezmierne cierpienia, które sprowadziło na ludzkość ostatnie zwłaszcza dziesięciolecie.

2. Będziemy z całych sił popierać wszelką inicjatywę, mającą na celu utworzenie zjednoczonej Europy, w której ludzie mogliby żyć bez lęku i gwałtu.

3. Podejmiemy się wszelkiej, nie rezygnującej z żadnego wysiłku, pracy mającej się przyczynić do dzieła odbudowy Niemiec i Europy.

Straciliśmy naszą ojczyznę. Ludzie pozbawieni ojczyzny stają się obcymi na ziemi. Bóg bowiem powołuje ludzi do istnienia w ich ojczyźnie. Pozbawić gwałtem człowieka własnej jego ojczyzny, znaczy więc zabić go duchowo. Ten właśnie los stał się naszym bolesnym przeżyciem. Dlatego czujemy się powołani do wysunięcia żądania, aby prawo do ojczyzny jako jedno z podstawowych uprawnień danych przez Boga człowiekowi było powszechnie uznawane i urzeczywistniane".

Karta ta istotnie kształtowała odtąd sposób myślenia, życia i działania wygnańców oraz ich przedstawicieli, a także przyczyniła się znacznie do tego, że postawa – a tym bardziej polityka – odwetu nie miała nigdy jakichkolwiek szans w ich obrębie.

Na jednym z pierwszych znaczących kongresów powstałej nieco później Stałej Rady Wschodnioniemieckich Przedstawicielstw Krajowych, obejmującej wszystkie pruskie przedstawicielstwa, przyjęto 22 III 1964 r. w Bonn – w duchu tejże *Karty* – następujące zdanie:

„Respekt dla godności człowieka stanowi treść i cel prawa ziemskiego. Naprawa naruszonego prawa musi więc sama wykluczać ze swej strony wszelkie działania godzące w godność człowieka. Dotyczy to także tych ludzi, którzy na obszary pozostające obecnie pod administracją Związku Radzieckiego i Polski zostali przez obce mocarstwa przesiedleni. Poszczególne osoby mają prawo w sposób wolny zdecydować, czy zechcą pozostać w kraju czy też wrócić do swego państwa".

Działanie *Karty wygnańców z ojczyzny* przetrwało wbrew słabnącemu u wielu z nich przekonaniu, by było możliwe rychłe egzekwowanie ich prawa do ojczyzny, nawet jeśli liczne orzeczenia konstytucyjne z lat siedemdziesiątych przypominały niezmienność ważnych do r. 1937 granic Trzeciej Rzeszy i stwierdzały, iż poza umowami zawartymi w ramach traktatu pokojowego nie można podjąć ostatecznych zmian dotyczących obszaru państwa.

W r. 1970, w wyniku rozmów prowadzonych w ciągu wielu miesięcy przez prezydium związku wysiedlonych Pomorzan z polską ambasadą w Republice Federalnej, reprezentowaną wówczas przez ambasadora Piątkowskiego, doszło w końcu do otwarcia polskiej granicy, co umożliwiło przesiedlonym Niemcom odwiedzenie ich rodzimych stron.

Od tamtego czasu setki tysięcy Niemców zwiedziło swą wschodnioniemiecką ojcowiznę. W swoich dawnych domach i gospodarstwach spotkali polskie rodziny, które się tam osiedliły z polecenia władz polskich, przybywając z Litwy, Białorusi czy Ukrainy. Ponieważ i oni nie dobrowolnie opuścili własną ojczyznę, darzyli swych niemieckich gości pełnią zrozumienia, a często gościnnym i przyjaznym przyjęciem. Niektórzy Niemcy mogli odtąd ponawiać spędzanie urlopu w swych własnych domach bądź też domach swoich rodzi-

ców. I tak zaczęły się pojawiać na łamach prasy przesiedleńców w sprawozdaniach z podróży zdania w rodzaju: „Tego roku byliśmy znowu u «naszych Polaków»".

Latem 1970 r. w „Gazecie Pomorskiej" ukazał się artykuł wstępny przedstawiciela związku Pomorzan z wezwaniem do „pojednania w prawdzie" z narodem polskim.

Gdy zatem dziś spojrzeć w przyszłość, czyli w stronę czasu, na którego dziejowy kształt oraz polityczne i ludzkie oblicze możemy wywierać wpływ naszym sposobem myślenia i działania, i gdy przyjąć postawę służebną wobec zobowiązującej mocy wyzwania zasady „Si vis pacem – para pacem", czy da się określić kierunki rozwoju, które już teraz mogłyby nas do tego celu przybliżyć i uczynić go osiągalnym? Czy nie byłby na przykład realny taki kształt politycznego krajobrazu Europy, w którym – według zasad prawa do suwerenności – mogłyby trwale współżyć w pokoju i zarazem służyć jego umacnianiu w świecie – na zasadzie obustronnych korzyści – dwa, urzeczywistniające model federacyjny, mocarstwa – wschodnie i zachodnie? Pierwsze, jako w pełni suwerenne i gwarantujące wszystkim państwom związkowym wewnętrzną suwerenność, doprowadzone do poziomu „Unii Europejskiej" wraz z wintegrowanym w nią Wspólnym Rynkiem, oraz drugie, jako rezygnujący na zawsze z usprawiedliwianej ideologicznymi czy jakimikolwiek innymi racjami ekspansji w kierunku panowania nad światem, a także z wszelkiej kurateli nad innymi państwami, czyli rządzący się demokratycznie, Związek Radziecki? Lub inaczej to samo wyrażając: dlaczego miałby nie być możliwy taki, wypływający z powyższego modelu, rozwój, skoro zainteresowanie Związku Radzieckiego – w obliczu jawnej dziś dla wszystkich ekonomicznej niewydolności gospodarki centralnie w sposób dyktatorski kierowanej przez aparat państwowy tzw. realnego socjalizmu – pełnym wykorzystaniem swych własnych zasobów drogą gospodarki rynkowej i możliwie wszechstronną wymianą z technicznie i ekonomicznie daleko wyprzedzającą go Europą Zachodnią stało się oczywistością, stwierdzaną dziś coraz częściej przez jego własne kierownictwo? Czyż już dziś nie można stwierdzić, że taka właśnie Unia Europejska, stawszy się poprzez wintegrowany w nią Wspólny Rynek partnerem handlowej wymiany, idealnie wręcz odpowiadałaby – również z racji bezpośredniej bliskości zachodniego sąsiada – wszelkim możliwym żywotnym interesom Związku Radzieckiego? Taki zachodni sąsiad, stawszy się w drodze pokojowego rozwoju – ze swymi 320 mln obywateli – państwem o randze światowego mocarstwa, nie tylko oddałby optymalne usługi interesom gospodarczym, społecznym i kulturalnym ludzi i obywateli Związku Radzieckiego. Byłby zarazem nie wymagającym żadnych kosztów, co więcej, przynoszącym olbrzymie korzyści gospodarcze sposobem zabezpieczenia pokoju w skali dotąd niespotykanej. Byłby on bowiem niezdolny – z najbardziej dla siebie oczywistych powodów – do jakiejkolwiek agresji. Wszak jego zainteresowanie w utrwalaniu pokoju byłoby dlań wymogiem rangi „raison d'être", miało-

by po prostu moc niepodważalnej oczywistości. I ani jego sojusznicy na Zachodzie, czyli tzw. kuzyni i krewni w postaci Stanów Zjednoczonych i Kanady, ani żadne inne mocarstwo świata nie byłoby w stanie skłonić go do udziału w jakimkolwiek akcie gwałtu. Stałby się pierwszym „mocarstwem pokoju światowego"!

Respektując prawo każdego narodu do samostanowienia jako światową zasadę, byłby on nadto bez wątpienia gotowy i zdolny przyjąć „pewnego dnia" zgwałcone politycznie przez Stalina środkowoeuropejskie narody zachodniego obrzeża Związku Radzieckiego, narody dogłębnie przeniknięte kulturą europejską, a przez to uchylić także ów fatalny – będący wynikiem przemocy – podział Europy w kraju samego jej centrum: w Niemczech.

Takie zachodnioeuropejskie „mocarstwo światowe", „sąsiad" Związku Radzieckiego, dysponowałoby nadto wystarczającym potencjałem gospodarczym, aby umożliwić dostęp do własnego poziomu życia tym wszystkim narodom środkowoeuropejskim położonym pomiędzy Bałtykiem i Morzem Czarnym, które w ciągu ostatnich 50 lat uległy znacznemu upośledzeniu w swym gospodarczo-technicznym rozwoju, jeśli tylko one – w imię swego prawa do samostanowienia – zechciałyby z oferowanych im możliwości skorzystać. Zniknąłby również graniczący z koszmarem, a tłumaczący się historią całego ostatniego zwłaszcza stulecia, lęk Europejczyków przed niemiecką hegemonią. Niemcy stanowiliby wszak w zachodnim państwie federalnym krajów EFTA, rozszerzonym na przykład o Polskę, Czechosłowację i Węgry, ze swymi 80 mln, nie więcej niż 20% ludności.

A broń atomowa? Zabezpieczenie pokoju opierane od 30 lat na zastraszaniu możliwością jej użycia stałoby się zbędne w obliczu stabilizującej pokój równowagi trwałych, na to samo ukierunkowanych, wzajemnie się uzupełniających i zapładniających interesów obu przyszłych państw europejskich, Związku Radzieckiego i Unii Europejskiej wchodzącej w zachodni system federalny. Ich siły odstraszające musiałyby zapewne czas jakiś zostać jeszcze utrzymane ze względu na pozostałości dawnego sposobu myślenia i traktowania swej wiary religijnej w innych częściach świata. W europejskim obszarze sił zbrojnych obu przyszłych sąsiadów starczyłaby broń konwencjonalna jako narzędzie eliminowania zgrupowanych form przemocy w samym wewnętrznym obrębie tych państw.

Jaka ranga przypada tu niemiecko-polskiemu pojednaniu, gdy się już raz człowiek waży kreślić taką, zbudowaną na więzi wspólnych interesów, przyszłość w obszarze Europy, lub – mówiąc skromniej – gdy się ją sobie usiłuje przynajmniej jakoś wyobrazić?

Cóż znaczyłyby pomysły wojennych operacji staroświeckich generałów rosyjskich, gdyby nagle w Moskwie musiano przyjąć do wiadomości, że Polacy nigdy już nie będą mieli ochoty strzelać do swych niemieckich sąsiadów lub rzucać na nich bomby?

Jakżeż wielkie miałoby znaczenie również, gdyby pod wrażeniem faktu pojednania Polski i Republiki Federalnej Niemiec także i Niemieckiej Republice Demokratycznej trzeba by się było w końcu zastanowić nad tym, jaki sens może mieć jeszcze infekowanie młodych ludzi, a nawet dzieci w wieku szkolnym (co dotąd wciąż ma miejsce), nienawiścią do tzw. kapitalistów zachodniej części Niemiec? „Kapitaliści"? Ma się na myśli, rzecz jasna, zwolenników i użytkowników – obciążonej społecznymi zobowiązaniami! – gospodarki rynkowej, która włącza ludzki indywidualny pożytek – drogą współzawodnictwa – w służbę pożytku powszechnego, i w której zrozumiano, że jedynie stałe i konsekwentne urzeczywistnianie zasady pomocniczości jest w stanie utworzyć właściwe ramy dla rzetelnej solidarności.

Jeśli się więc teraz przyłożyć te doczesne tylko kryteria do „historycznego cudu", jakim jest fakt zjednoczenia się 12 państw Wspólnego Rynku w ciągu ostatnich 30 lat – bez rozlania kropli krwi – w praktycznie już nierozwiązywalną wspólnotę pokojową, to wydaje się dla chrześcijan rzeczą już wręcz niedozwoloną uznawanie idei zachodnio- i środkowoeuropejskiego światowego mocarstwa pokoju za ideę nierealistyczną. Przeciwnie, właśnie chrześcijanie stają w obliczu obowiązku jej możliwie najrychlejszego urzeczywistnienia angażując w to całą swą dobrą wolę i całą swą ludzką pomysłowość na wszelkich możliwych polach. W obszarze niemiecko-polskim, któremu słusznie przyznaje się kluczową rolę w rozwiązaniu problemu przyszłości Europy, wzajemne zachęcanie się do coraz szerszego i coraz głębszego pojednania wydaje się zadaniem jeśli nie najpilniejszym, to jednym – dla tej sprawy – z najpilniejszych. Czy jest to już w dostatecznej mierze widziane i czy nasze Kościoły w obu krajach czynią dla tej sprawy już wszystko, co leży w ich mocy?

Nie jest rzeczą autora wydawanie oceny. Gdyby jednak wolno mu było w tym miejscu wyrazić prośbę, to brzmiałaby ona następująco: „Nie przejdźmy obok łaski, że za naszych dni stolicę św. Piotra objął Polak.

Nie zezwólmy, by łaska, iż za naszych dni stolicę św. Piotra objął Polak, przeszła obok nas bez wyciśnięcia niezatartego znamienia na naszym dojrzewaniu do ostatecznego polsko-niemieckiego i niemiecko-polskiego pojednania na gruncie wspólnego nam chrześcijańskiego dziedzictwa, a więc na gruncie prawdy! Pieczęć ta pozostawi na nas także niezatarte znamię, jeśli obustronnie dopuścimy do głosu w sposób nieograniczony prawo każdego do wolności i do zrzeszania się w obrębie swej wiary i swego języka oraz do przesiedlania się tak, ażeby przez to umożliwić każdemu niczym nie zakłócone ludzkie i uczciwe współżycie przy wszechstronnym uwzględnieniu jego prawa do ojczyzny, jako prawa człowieka".

Chyba, w ten tylko sposób potrafimy – w pokoju i wolności – znaleźć odpowiedź na krzyk z Olsztyna: „Cóż więc ma się stać z nami?"

Moim życzeniem na 70-lecie urodzin Ojca Świętego byłoby, żeby urzeczywistnienie tego wszystkiego mógł jeszcze osobiście przeżyć.

29 maja 1989 r.

Tłum. *T. S.*